

Pierwsze nasze miesiące w Kazachstanie

1. Wrażenia z podróży do Kazachstanu

Wybrałyśmy się do Pietropawłowska pociągiem. Dotąd nie wiemy dokładnie, ile kilometrów dzieli Bielsko-Białą od tego miasta w północnym Kazachstanie – jedni twierdzą, że siedem tysięcy, inni cztery – ale jedno jest pewne: jedzie się tam pociągiem całe cztery doby.

Samo kupowanie biletu przyniosło wiele niespodzianek. Na Dworcu Centralnym w Warszawie nie można było zdobyć dokładnych informacji, co do trasy tego pociągu. Wiedziałyśmy z opowiadań innych, że z Berlina do Omska jedzie wagon bezpośredni i właśnie na niego chciałyśmy zdobyć bilety. O.Piotr Kurcius kupił nam je tylko dzięki interwencji kogoś stojącego w kolejce, kto tam jeździł, ponieważ bileterka nic na ten temat nie wiedziała. Do ostatniego momentu nie byłyśmy pewne, czy mamy właściwe bilety i czy czasem nie będziemy się musiały gdzieś w Rosji przesiadać, jak na to wskazywał rozkład jazdy. Wątpliwości te rozwiały się dopiero w momencie przyjazdu pociągu na Dworzec Warszawie, zresztą bardzo punktualnie. Chyba byłyśmy jedynymi pasażerami, którzy tego wieczoru 5 maja, o godz. 22.32 wsiadali do tego pociągu. Rosjanka-konduktor spojrzała na nasze bilety i od razu wskazała nam odpowiedni przedział: w wagonie jadącym do Omska były dla nas dwa wolne miejsca, a to znaczyło, że dojedziemy do samego Kazachstanu i nie będziemy musiały biegać z naszymi niewielkimi bagażami po rosyjskich dworcach.



Jeszcze ze wzruszeniem popatrzyłyśmy na nasze siostry i przyjaciół, którzy nas odprowadzili na dworzec. Aż dziwnym się nam wydawało, że naprawdę żegnamy Ewę i Kasię, ojca Jana, który swoją obecnością przypominał nam dawne oazowe czasy przed wstąpieniem do klasztoru, Bożenkę, która towarzyszyła nam często w różnych ważnych wydarzeniach, a teraz przyszła pożegnać nas na dworzec ze swoją rodziną. Przyszedł nawet jej syn Michał, którego znałyśmy jako małego chłopca, a teraz jest najsłynniejszym aktorem w Polsce. Wszyscy pomagali nam wstawić bagaże do pociągu. Odwożący nas do

Warszawy państwo Mikułowie z Bielska patrzyli na nas ze łzami w oczach, a ich córka Daria nawet biegła przez chwilę za odjeżdżającym pociągiem, co nas naprawdę wzruszyło.

Wreszcie wsiadłyśmy do naszego przedziału i na całe cztery dni weszłyśmy w zupełnie nowy świat. Za oknem pociągu zniknęły twarze naszych przyjaciół, które łączyły nas z rzeczywistością poprzedniego życia i zaczęło się coś nowego.

Pasażerowie wagonu jadącego z Berlina do Omska tworzyli specyficzną społeczność, która już się częściowo znała, gdy my się w niej znalazłyśmy. W naszym przedziale zastałyśmy dwoje starszych, którzy gościnnie usunęli swoje bagaże, aby pomóc nam się usadowić i widać było, że są do na przyjaźnie ustosunkowani. Szybko ich też poznaliśmy: jechali z Niemiec na kilka miesięcy do swoich dzieci w Rosji. Oczywiście, chętnie opowiadali nam o sobie, o swoich ciężkich losach, o historii swojej rodziny. Babcia – tak właśnie do nie się zwracałyśmy – pochodziła z rodziny Niemców nadwołżańskich, którzy zostali przesiedleni w głąb Rosji, zesłani do łagrów pracy na Syberii: tu wymarła cała jej rodzina. Dziadek zaś był Rosjaninem, który za żoną i za lepszym życiem wyemigrował do Niemiec, nawet nie znając języka tego kraju. Podziwowałyśmy jego spokój i dobry humor, z jakim podchodził nawet do kaprysów babci, choć z pewnością wiele się nacierpiał. Oboje przypominali prostych starszych z naszych wiosek, choć losy ich były tak niezwykle. Jak się potem okazało, babcia trafiła do wspólnoty zielonoświątkowców, która twardo ukształtowała jej sposób myślenia: powtarzała wciąż, że ważne jest tylko to, co zostało zapisane w Biblii, czasami powatpiewała o sensowności naszego mniszego życia i stroju zakonnego, ale i tak była dla nas

bardzo sympatyczna, zaliła się na swoje zdrowie i co jakiś czas pożyczła sobie od nas Biblię po rosyjsku, a kiedy odmawiałyśmy psalmy, dołączała się do naszej modlitwy, mówiąc wspólnie z nami Ojciec nasz. Gdy ją poprosiłam, aby posłuchała, czy dobrze czytam po rosyjsku fragmenty Pisma Świętego i aby poprawiła mój akcent, to było jej tego za mało. Zaczęła „rozbiierać Słowo Boże”, jak sama powiedziała, i po każdym przeczytanym zdaniu je tłumaczyła jak prawdziwy kaznodzieja. A była to akurat Ewangelia z niedzieli o Dobrym Pastarzu, który kocha swoje owce. Tej niedzieli nie mogliśmy uczestniczyć w Eucharystii, ale wysłuchałyśmy za to tej specyficznej homilii. Dziadek się wtedy tylko uśmiechał, ale dobrze to sobie zapamiętał, bo potem na jednej ze stacji powiedział synowi przez telefon, że babcia z mniszkami czyta Biblię w pociągu. Jak wywnioskowałyśmy z jego opowieści, on sam nie chodził do żadnego Kościoła, ale w Boga wierzył i do całego świata podchodził z wielką życzliwością. Polubił nas, a gdy się okazało, że zostawił w Niemczech jakieś dokumenty, musiałyśmy go nawet bronić przed zrzeczeniem babci.

Nasi starszycy mieli też w tym wagonie swoją znajomą – młodą matkę, Świętą, która z małym synkiem Filipem jechała do mamy, do Samary. Poprzez figle dziecka łatwo było z nią nawiązać kontakt. Ona też chętnie opowiedziała nam swoją historię. Pojechała do Niemiec za mężem, z pochodzenia Niemcem, bo ciężko im było żyć w Rosji, ale w Niemczech czuła się zupełnie obco: bez znajomości języka, pośród ludzi o zupełnie innej kulturze, zamkniętych w sobie i w swoich domach. Tęskniła za Rosją, za rodziną, nawet dobrobyt nie dawał jej szczęścia.

Siedząc na korytarzu, robiłyśmy skarpetki na drutach, aby nie marnować czasu, co wywoływało uśmiech na ustach przechodzących i przychylnie ich do nas ustosunkowywało. Najpierw podszedł do mnie pewien starszy pan, oczywiście zainteresowany tym, kim jesteśmy, gdzie się udajemy. Domyślał się, że jestem mniszką i ze zrozumieniem kiwał głową, gdy mu wyjaśniałam cel naszego powołania i misji w Kościele. On też był rosyjskim Niemcem, przesiedlonym na Syberię, do Omska, skąd potem wyjechał z częścią swej rodziny do Niemiec. Ale tak jak oni wszyscy, wracał do Rosji choć na jakiś czas, bo tutaj czuł się dobrze. Choć świetnie mówił po niemiecku i sam był nauczycielem tego języka, to jednak w Niemczech nie odnalazł swego miejsca: tam cierpiał na nadciśnienie i reumatyzm, brakowało mu wschodniej otwartości w relacjach międzyludzkich, więc wracał co roku na kilka miesięcy na Syberię, aby tu zakosztować - jak mówił - zdrowego klimatu, aby pielęgnować swój ogród i odnowić dawne kontakty przyjacielskie. Zachodni dobrobyt i jemu nie wystarczał, serce szukało jeszcze czegoś innego i właśnie tym swoim odczuciem - w tak bezpośredni sposób - chciał się podzielić z mniszką przygodnie spotkaną w pociągu. Zdawać by się mogło, że Syberia była dla tych wysiedlonych z jakiegokolwiek ziemi ludzi prawie ziemią obiecaną. Prawdę mówiąc to oni nigdzie nie mieli swojej ojczyzny i chyba dlatego tak łatwo było z nimi rozmawiać o ojczyźnie niebieskiej, o Bogu i wierze.

Specyfiką tej „wagonowej” społeczności była różnorodność wyznań, do których ci ludzie należeli: poznaliśmy tam luteran, baptystkę, ewangelików, katolików, pewną prawosławną, która z Grażynką czytała chętnie psalmy... Ciekawe, że to wcale nie dzieliło, nie zamykało ust. Panował tam prawdziwy duch ekumenizmu i ludzkiej otwartości. Każdy zresztą miał podobną historię życia: przesiedlenie do Rosji, zesłanie na Syberię, potem szukanie pomocy i szczęścia w Vaterlandzie. Nasz zakonny strój nie utrudniał tych kontaktów, ale wręcz je ułatwiał. Miałyśmy wrażenie, że należymy do nich wszystkich, bo jesteśmy własnością Boga, którego oni po swojemu kochają. Oni to chyba czuli, bo szczerze otwierali przed nami serca i otaczali życzliwością.

Nawet pani konduktor, młoda i uprzejma Rosjanka, była zainteresowana tym, jak można zostać mniszką, jak się żyje w klasztorze, skąd takie powołanie wzrasta w sercu.

Pod koniec zmienili się nam współtowarzysze podróży. Babcia i dziadek wysiedli. Pomagaliśmy im wszyscy zabrać bagaże, a oni nam życzyli Bożego błogosławieństwa. Potem zniknęli w objęciach swoich bliskich, którzy ze łzami w oczach czekali na nich na maleńkiej rosyjskiej stacji.

Parę godzin byłyśmy same w przedziale, który stał się na chwilę prawdziwie monastyczną celą: spokojnie odmówiłyśmy wtedy Liturgię Godzin, już bez „kaznodziejskich” wstawek babci. Ale pan Bóg widocznie miał dla nas jeszcze inną misję i przysłał do nas nowe osoby: dwóch panów z sąsiedniego przedziału, gdzie zachorowała jedna z podróżnych, pewna luteranka. Byli bardzo

dyskretni, chyba z szacunku do nas: szybko rano wstali i zniknęli na pół dnia. Ale potem jeden z nich, widząc, że inni nas odwiedzają, nabrał odwagi i pod sam koniec podróży przychodził do nas na poważne rozmowy. Był Rosjaninem, który po śmierci swej pierwszej żony ożenił się powtórnie z rosyjską Niemką. Pojechał z nią do Niemiec, ale wytrzymał tylko dziewięć miesięcy i teraz wracał na Syberię: też czuł się tam obco, chorował jak nigdy wcześniej, tęsknił za Rosją. Powiedział, że nawet dusza mu tam zachorowała i nic nie cieszyło. Teraz wracał, mając nadzieję, że dzieci go przyjmą i będzie mógł pozostać w swoim dawnym domu. Wzruszało nas to, że tych ludzi nie pochłonęło bogactwo, ale kierowali się sercem.

Ten Pan wielokrotnie nas pytał o nasze powołanie zakonne, jak jest możliwe życie w samotności, bez męża, rodziny. Trudno mu to było pojąć, ale wydawało się, że rozumiał, gdy usiłowałam mu wyjaśnić sens życia dla Boga, radość z przebywania w Jego obecności, życie ofiarą z siebie dla innych, po prostu życie wartościami, a nie tylko według swych naturalnych potrzeb. Gdy przyrzekłyśmy mu modlitwę za jego powrót do rodziny, widać było jego wzruszenie.



Kiedy wysiadałyśmy wszyscy życzyli nam Bożego błogosławieństwa, ludzi różnych wyznań prosili o modlitwę, po bratersku podawali nam ręce i pomagali nosić bagaże. Żegnali nas jak kogoś bliskiego, gdy wysiadałyśmy na peron w Pietropawłowsku.

To były niezwykle cztery dni. Pan Bóg w ten sposób przygotowywał nas do nowej misji. Stanowiły one jakby pomost między naszym dawnym życiem w Polsce, a nowym w Kazachstanie. Napełniły nas one prawdziwą nadzieją i radością. Ci ludzie jechali do Rosji, na Syberie, do Kazachstanu, jak do ziemi, którą można kochać, gdzie czują się dobrze, za którą tęsknią ciałem i duszą. Można więc nawet tęsknić za Syberią?

Taka jest więc ta ziemia, na której będziemy starać się stworzyć redemptorystowski dom modlitwy. I dla takich ludzi jak oni, mających swe słabości i wady, ale o sercach otwartych, szerokich jak ta ziemia, spragnionych miłości Boga i dobroci drugiego człowieka, będziemy tutaj żyć. Poprzez te cztery dni wspólnej podróży na nowo uświadomiłyśmy sobie jak bardzo potrzeba im obfitego odkupienia, aby w Bożej perspektywie mogli popatrzeć na swoje pogmatwane losy, aby mogli uznać swoją historię życia za historię zbawczą i żyć nadzieją, którą tylko Chrystus może wlać w nasze serca.

2. Pierwsze tygodnie w Pietropawłowsku

Dotarliśmy tutaj 9 maja, czyli w Dzień Zwycięstwa. Jeszcze z pociągu w niektórych rosyjskich miastach widziałyśmy tego dnia spacerujących po ulicach bohaterów II wojny światowej z całym mnóstwem medali na piersiach: ledwo trzymali się na nogach i na tym chyba polegało ich świętowanie. Stanowili humorystyczny relikw „chwalebnej” przeszłości.

Na dworcu w Pietropawłowsku czekał na nas już ojciec Andrzej wraz z s. Maria Magdaleną i s. Leonią ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia pracującymi tutaj od kilku lat. Dzielnie pomagali nam zataścić do samochodu nasze nielekke bagaże. Było bardzo gorąco, ale kiedy ruszyliśmy w kierunku parafii „Świętej Trójcy” pojawiła się nagle jakaś zawierucha – powiedzieli nam, że to buran piaskowy charakterystyczny dla tutejszego klimatu. Nie był jednak niebezpieczny, bo szybko się skończył i zaraz zaczęło świecić słońce.

W klasztorze redemptorystów ojciec Zbigniew już na nas czekał, zaprowadził do domowej kaplicy i nawet zrobił zdjęcie na powitanie. Potem zjedliśmy wraz z ojcami i siostrami uroczystą kolację i poszłyśmy się modlić do parafialnej kaplicy. Była akurat środa, więc i Msza święta była po polsku ze sporą grupą wiernych. Serdecznie powitałyśmy naszych znajomych z zeszłorocznego pobytu. Od razu poczułyśmy się jak w domu.

Pan Bóg też zrobił nam powitalną niespodziankę. Znowu na Mszy świętej usłyszałyśmy tekst z Dziejów Apostolskich 12, 24-13, 5, z którym związana jest wyjątkowo nasza misja:

„Gdy odprawili publiczne nabożeństwo i pościli, rzekł Duch Święty: Wyznaczcie mi Barnabę i Szawła do dzieła, do którego ich powołałem”. Wtedy po poście i modlitwie oraz po włożeniu na nich rąk, wyprawili ich. A oni wysłani przez Ducha Świętego zeszli do Seleucji, a stamtąd na Cypr...”. Tekst ten towarzyszy nam od momentu, gdy nasza wspólnota w zeszłym roku - po przywiezieniu przez ojca Stanisława Wróbla zaproszenia od Księdza Administratora z Astany – stanęła przed decyzją o rozpoczęciu tej fundacji. Poruszyło nas kolejny raz to Boże Słowo, tak zwyczajnie przemawiające do nas przez liturgię, i wzmocniło naszą wiarę, że sam Duch Święty jest inicjatorem i Twórcą tej fundacji.

W Pietropawłowsku zatrzymałyśmy się u naszych ojców redemptorystów, w przygotowanym nam pokoiku na górze. Modlimy się w ich kaplicy domowej, uczestnicząc w ich codziennych modlitwach, oraz w parafialnym kościele, pw. Bożego Miłosierdzia, gdzie w bocznym ołtarzu – tak jak w Bielsku-Białej - króluje Matka Boża Nieustającej Pomocy.



13 maja na niedzielnej Mszy św. ojciec Zbigniew przedstawił nas oficjalnie wspólnocie parafialnej, której przedstawiciele wręczyli nam piękne czerwone róże. My zaś, stając przed nimi trochę z drżeniem serca, wyraziłyśmy nasze pragnienie stworzenia pośród nich domu modlitwy, z nadzieją, że Bóg znajdzie upodobanie w naszej służbie tutaj. Chcemy, aby ta data, tak znacząca dla naszego Zakonu i całego Kościoła, i tak mocno związana z Ojcem Świętym, stała się datą rozpoczęcia

fundacji redemptorystek w Pietropawłowsku.

Od tego dnia rozpoczęłyśmy częste wędrowki z różańcem w rękę do naszego przyszłego kościółka w parku, aby „omodlić” tę świątynię i stojący tam domek plebani. Jest zniszczony, ale uroczy w swej ludowej rosyjskiej architekturze. Patrząc zawsze na niego ze wzruszeniem i nadzieją, że w następnym roku stanie się naszym klasztorem. Wraz z kościołem otoczony jest starymi drzewami, wiele z nich trzeba będzie wyciąć, ale inne z pewnością pozostaną. Gnieźdzą się w nich ptaki i często dają o sobie znać. Na razie w wolnych chwilach zabrałyśmy się do porządkowania skwerków koło ogrodzenia, znalazłyśmy tam pośród chwastów parę piwonii, floksów, konwalii, które ktoś kiedyś na tym miejscu posadził. Kiedy pierwszy raz poszłam tam z Grażynką pracować, wzięłam łopatę i zaczęłam spulchniać tę ziemię, to uświadomiłam sobie, że jest to coś niesamowitego: ja, zakonnica z dalekiego kraju, tutaj na krańcach ziemi, w centrum tego azjatyckiego miasta, naprzeciw jakiegoś budynku ważnej kazachskiej instytucji z flagą od frontu i jednocześnie przed przyszłym katolickim kościołem mogę dla Pana Boga sadzić kwiaty. Obok stoi drewniany krzyż, symbol męczeńskiej śmierci polskich katolików z czasów rewolucji. A za ogrodzeniem mijają nas nieustannie ciekawskie twarze tutejszych mieszkańców, najczęściej o wschodnich rysach. Te nasze ogrodnicze zabiegi nie zawsze są efektywne, bo strój zakonny – będący naprawdę czymś niespotykanym w tym miejscu - przyciąga wzrok przechodzących. Ciągłe ktoś przy nas przystawał, pytał o kościół, a czasem nawet ze wschodnią wylewnością długo opowiadał historię swego życia lub żądał długich wyjaśnień, jak można żyć tylko dla Boga, bez własnej rodziny... Wzruszały nas ogromnie te rozmowy, bo stwierdziłyśmy, że wystarczyło tu po prostu się pojawić, aby w jakimś sensie być świadkiem Boga i Jego Królestwa. Niektórzy prosili o modlitwę i zapewniali, że przyjdą znowu, gdy kościół będzie otwarty. Może w ten sposób Pan Bóg przyciąga pierwszych parafian do świątyni Swego Najświętszego Serca?



Do kościółka w parku chodzimy najczęściej piechotą z klasztoru ojców, około dwudziestu minut, i zawsze w drodze odmawiamy różaniec albo koronkę do Bożego Miłosierdzia, oddając Bogu naszą misję i wszystkich mieszkańców tego miasta. Chciałybyśmy, aby przez nasze wstawiennictwo Bóg zlał na to miejsce „rzekę swego miłosierdzia”.

W kościele ojców redemptorystów codziennie o godz. 17.00 jest adoracja przed Najświętszym Sakramentem. Nie ma tu tłumów, ale każdego dnia ktoś z tutejszych parafian czuwa w cieniu Jego skrzydeł. My też od

początku naszego pobytu na kazachskiej ziemi tutaj znajdowałyśmy siłę i światło. Od pierwszych dni Pan Jezus wzmacniał nas też słowami codziennej Liturgii z Ewangelii św. Jana mówiącymi o naszym zakorzenieniu w Winnym Krzewie, o życiu jedynie Jego mocą, a także tak bardzo potrzebnymi nam wtedy obietnicami, że nie zostawi nas sierotami, że w domu Ojca jest mieszkań wiele i dlatego nigdy nie powinno się trwożyć nasze serce. Były to ważne dla nas zapewnienia zwłaszcza w momencie, gdy nasze poszukiwania mieszkania do wynajęcia i starania o remont domu plebanii nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. A potem zaczęłyśmy nowennę przed Zesłaniem Ducha Świętego i liturgia codziennie przypominała nam o największej obietnicy Pocieszyciela i Jego darach, zwłaszcza o darze miłości i jedności. O to też w tym czasie modliłyśmy się najgoręcej dla tutejszego Kościoła, uczestnicząc w Jezusowej trosce o owczarnię.



Parafialna kaplica stała się też dla nas miejscem spotkań z tutejszą wspólnotą. Wcześniej poznałyśmy trochę grupkę młodych, natomiast teraz zaprzyjaźniłyśmy się najbardziej z babciami, które są tutaj bardzo aktywne, uczestniczą zwłaszcza w śródowej Mszy świętej po polsku i już wyraźnie otoczyły nas swoją opieką. Wszystko zaczęło się od wyprawy z ojcem Andrzejem i dwiema z nich na wioskę o nazwie Sokołowka, gdzie wspólnie przy kaplicy ojców sadziliśmy kartofle. Nauczyłyśmy się przy okazji tutejszych sposobów uprawy, przypominających czasy pańszczyzniane: ziemia okazała się całkiem lekka, chwastów niewiele, a do sadzenia wystarczała im tylko łopata. Potem babcie zainteresowały się naszymi porządkami wokół kościółka w parku. To one przecież zabiegały przez wiele lat o jego odzyskanie, brały udział w manifestacjach, tam się modliły i wciąż czekają, kiedy będzie w nim celebrowana Eucharystia. Dlatego też z ochotą odpowiedziały na zaproszenie Ojca do pomocy w porządkach. Umówiłyśmy się z nimi na jedno przedpołudnie, sądząc, że pojawi się tylko parę osób, a tu przyszła cała gromada babć i dzielnie zabrały się z nami do usuwania wyrosłych tam dzikich młodych drzew, prawie gołymi rękami, ponieważ nie dysponowałyśmy odpowiednimi narzędziami. Nie były tym wcale przerażone, a po trzech godzinach tego naprawdę pionierskiego karczowania terenu mogłyśmy zobaczyć znakomity efekt wspólnej pracy.



Przy okazji trochę z nimi porozmawiałyśmy: opowiadały o swoich losach, zsyłce, nieustannej tułaczce z rodziną w poszukiwaniu pracy, o swoim zatroskaniu o dzieci i wnuków, które nie zawsze wytrwały przy Kościele i w Boga nie wierzą. Na koniec, bardzo z siebie zadowolone, odśpiewały parę ukraińskich ludowych pieśni, bo większość z nich pochodziła z kresów wschodnich, kiedyś należących do Polski.

Od tamtego dnia jesteśmy już ich znajomymi. Widząc nasze starania o grządki w parku, ze swoich dacz przynoszą nam z własnej inicjatywy sadzonki różnych kwiatów, astrów, nagietek, aksamitek..., tak jak pani Joanna w Bielsku-Białej. Poza tym dzielą się z nami tym, co mają: jedna przyniosła nam kilka jajek, inna parę rzodkiewek, talerz zimnych nóżek, upieczone przez siebie drożdżówki, słoik kompotu... A to wszystko przed niedzielną Eucharystią albo po codziennych nabożeństwach w kaplicy parafialnej. Stwierdziłyśmy, że przy babciach, dopóki żyją, nie zginiemy, choćby było kiedyś nawet bardzo ciężko. Już pamiętamy ich twarze, niektóre znamy po imieniu: babcia Mania, babcia Dusia, Katia, Anna... Z zapałem zawsze wyciągają do nas ręce na znak pokoju przez trzy ławki w kościele albo chwytają nas sympatycznie za ramię, kiedy koło nas przechodzą. Na śródowej Mszy świętej uwielbiają głośno śpiewać polskie pieśni religijne, choć niejednej trzeba pomoc znaleźć słowa w śpiewniku, bo oczy i słuch już odmawiają posłuszeństwa. Kiedy do nas mówią, to mieszają polskie słowa z rosyjskimi, ale rozumiemy się świetnie. Języka rosyjskiego uczą nas natomiast dwie Kazaszki, którym pomagam w nauce języka włoskiego, bo wybierają się na Zachód na studia teologiczne. Poprawiają wytrwale zwłaszcza nasze akcenty, gdy odcytujemy przed nimi na głos psalmy z Liturgii Godzin, aby nauczyć się poprawie po rosyjsku oddawać codziennie Bogu chwałę, co przecież jest to naszą zasadniczą służbą w Kościele.

Serdeczną znajomość zawarłyśmy też z panią Nataszą, pracującą u ojców w kuchni i nie tylko, która jest tutaj swoistym fenomenem: zawsze pełna życia, potrafi nawet z niczego coś ugotować, codziennie wita nas uśmiechem i swoimi dobrymi, kobiecymi radami uczy tej nowej rzeczywistości, w której się znaleźliśmy. Można jej pozazdrościć poczucia humoru w każdej sytuacji. Czasem ją zastępujemy w obowiązkach, to wtedy daje nam tysiące wskazówek, jak chronić dom ojców, zwłaszcza przed złodziejami, których tu podobno nie ma. Chyba jej nauki nie poszły w las, bo już nawet łopaty, które kupiliśmy, aby pracować w parku, trzymamy we własnym pokoju.

Już tyle osób z tego środowiska poznałyśmy, pokochałyśmy. Często słyszymy wiele złych sądów o tutejszej ludności, o mentalności kazachskiej, o szczególnym typie człowieka rosyjskiego, o jego niezdolności do uczciwej pracy, o złodziejstwie. Pewnie i to jest prawdą, ale jak na razie Pan Bóg daje nam ich poznać od najlepszej strony.

Zresztą naprawdę czujemy wokół siebie ogromną życzliwość. Parafianie otaczają nas też swoją modlitwą, wspominają nas w intencjach do tajemnic różańca świętego, zwłaszcza przed niedzielą Mszą świętą. Ich modlitwami byliśmy zwłaszcza poruszone w wigilię przed Zesłaniem Ducha Świętego. Nasze znajome babcie, zresztą nie tylko one, modliły się z zapalem do północy w kościele przystrojonym zielonymi brzoźkami i kwiatami, które przyniosły ze swoich ogródków: podjęły to czuwanie za cały Kościół, za duchowieństwo pracujące w Kazachstanie, też za nas, za swoich bliskich, często jeszcze nie wierzących, za przygotowywaną pielgrzymkę Ojca Świętego do ich kraju. Wierzymy, że ich modlitwa, czasem może nieskładna, ale taka pełna żaru, jest i będzie mocą tego rodzącego się Kościoła.

W uroczystość Zesłania Ducha Świętego, dzięki ojcu Wojtkowi, pojechaliśmy do oddalonej nieco od miasta cerkwi prawosławnej, która tego dnia świętowała również uroczystość Trójcy Świętej. Na środku cerkwi były wystawione dwie ikony obu uroczystości, a wokół nich, tak jak i w naszym kościele, mnóstwo zielonych brzoźek. Choć cerkwie w Pietropawłowsku nie są zbyt bogate ani zabytkowe, to jednak znalazłyśmy tam wiele pięknych ikon Matki Bożej i naszego ulubionego świętego Serafina z Sarowa, przed którymi też prosiłyśmy całe niebo o wstawiennictwo. Poszłyśmy tego dnia również pod stojący w Pietropawłowsku meczet, aby dopełnić zwiedzania wszystkich świątyń tego miasta. Prosiłyśmy Boga o jedność wszystkich Jego wyznawców, aby stali się dzięki temu świadkami Jego istnienia dla tych, którzy Go jeszcze nie znają.

Kolejnym ważnym dla nas wydarzeniem była wyprawa do Astany, stolicy kraju, gdzie znajduje się siedziba naszego księdza biskupa, Tomasz Pety, który nas tutaj zaprosił i obiecał swoją pomoc. Pojechaliśmy tam 30 maja: wyruszyliśmy o godz. 5.00 rano z ojcem Wojtkiem i księdzem Lorenzem, Niemcem, który dziesięć lat służył Kościołowi w Kazachstanie, a za miesiąc wraca już do swego kraju. Niestety, po 90 kilometrach samochód zaczął się psuć i musieliśmy wrócić do klasztoru: do Astany jest 500 km, więc nie można było ryzykować, a tego dnia czekała nas jeszcze droga powrotna. Ksiądz Lorenz został na trasie, bo stwierdził, że nie lubi się cofać i jakoś okazjami dojechał do stolicy. Na szczęście ojcowie znaleźli drugi samochód i tym razem z ojcem Andrzejem wyruszyliśmy znowu na południe: dojechaliśmy do Astany za pół dnia, jadąc po bardzo różnych drogach, lepszych i gorszych, czasem po stepie w miejscach objazdu. Z okien samochodu patrzyliśmy na surowy krajobraz Kazachstanu, zwłaszcza na olbrzymie połacie stepu i rozrzucone po nim wzdłuż dróg biedne wioseczki. Czasem zatrzymywało nas stado krów majestatycznie przechodzących przez jezdnie. Tylko w jednym miejscu naszej podróży widziałyśmy malownicze wzniesienia, które tu nazywają kazachską Szwajcarią. Ksiądz Biskup, jak zwykle przyjął nas serdecznie, jak prawdziwy pasterz. Wysłuchał uważnie naszych pierwszych wrażeń i wciąż dodawał nam ducha, a przede wszystkim pouczał, że tutaj musimy nauczyć się „chodzić po wodzie” za Jezusem, który tego właśnie żądał od Piotra. Jego kuria żyje teraz przygotowaniem do wizyty Ojca Świętego w Kazachstanie, która będzie możliwa najprawdopodobniej tej jesieni. Byłyśmy świadkami rozmowy telefonicznej Księdza Biskupa z urzędnikami kancelarii prezydenta, który też czeka tutaj na Namiestnika Chrystusowego.

Wtedy narodziła się niespodziewanie propozycja Księdza Biskupa, abyśmy i my włączyły się w przygotowania do wizyty papieskiej: poprosił nas o pomoc w pracach sekretariatu tej

pielgrzymki, zwłaszcza w tłumaczeniu komunikatów i pism po włosku. Zapewnił, że będziemy tu mogły prowadzić życie modlitwy i przebywać przez kilka miesięcy aż do przyjazdu papieża. Pomyślałyśmy, że ta propozycja jest dla nas na ten czas opatrznościową, ponieważ w Pietropawłowsku dopiero jesienią mamy szansę na znalezienie osobnego mieszkania, a przy pracach budowlanych w parku nie jesteśmy ojcom teraz szczególnie potrzebne. Zresztą współpracując z kurią biskupią, tak niedawno powstałą, w stolicy tego wielkiego kraju, poznamy lepiej ten młody Kościół, jego problemy i możliwości, aby móc później otoczyć go jeszcze konkretniej modlitwą, a teraz wspomóc w tym bardzo ważnym momencie, jakim jest tak gorąco oczekiwana tutaj wizyta papieska. Może właśnie taką drogę wybrał dla nas Jezus, aby doprowadzić nas do stworzenia kontemplacyjnej wspólnoty w tym kraju?

3. Z Pietropawłowska przez Oziornoje do Astany

Nasz wyjazd z Pietropawłowska trochę się odkładał w czasie. Ale i w tym widziałyśmy Boże działanie, które stawiało nas przed nowymi wyzwaniem. Najpierw stałyśmy się gospodyniami klasztoru ojców na cały tydzień, bo pani Natasza wyjechała z ojcem Wojtkiem i młodzieżą do Szczucińska na tzw. „wakacje z Bogiem”. Ojciec Andrzej też wyjechał do Niemiec i do Polski, byliśmy same z ojcem Zbigniewem i jego bratem. Ojciec Zbigniew prowadził intensywną działalność apostolską – jeździł ciągle na wioski, gdzie przygotowywał dzieci do Pierwszej Komunii świętej, która miała się odbyć w Boże Ciało. Ponieważ jednak on tego dnia wyjeżdżał do Astany na uroczystość pożegnania księdza Lorenza, który przez dziesięć lat służył Kościołowi w Kazachstanie, więc wezwał ojca Wojtka ze Szczucińska, aby podjął się końcowego przygotowania dzieci do Komunii świętej. A nas wtedy spotkała radość ugoszczenia dzieci w domu ojców – z radością więc gotowałyśmy dla nich obiad, przygotowywałyśmy kolację. Jednak największą radość przeżyłyśmy podczas udzielania sakramentu Chrztu świętego dwóm dziewczynkom z wioski. To była bardzo prosta ceremonia, ale jakże brzemienna w znaczeniu: powiększała się rodzina Kościoła o dwie nowe członkinie. Dzieci swoimi prostymi odpowiedziami na pytania ojca Wojtka odślaniały uczestniczącą wagę tego sakramentu. Wtedy w naszych sercach – dzieliłyśmy się tym potem z Grażynką – zrodziło się wielkie pragnienie, aby „być kapłanem, misjonarzem, ewangelizatorem”, by móc tych wszystkich ludzi zanurzać w Chrystusie. Nie dziwię się Małej Teresce, że o tym mogła pomyśleć i to zapisać w swoim „Dzienniku duszy”.

To było tylko pragnienie, ale jednocześnie kontynuowałyśmy naszą kontemplacyjną misję, modląc się za te dzieci i młodzież, bo widziałyśmy, jak jeszcze wiele muszą się nauczyć, aby być chrześcijanami, zwłaszcza dlatego, że nie mają żadnej podpory w rodzinach.

Modliłyśmy się też gorąco za ojców, którzy w tym czasie przeżywali zmianę przełożonego we wspólnocie. Ojciec Zbigniew do ostatnich dni intensywnie pracował, uczestniczyłyśmy w kolejnych ceremoniach Chrztu św. młodych ludzi, przez niego przygotowywanych. A młodzi ojcowie przejmowali pracę przy budowie kościoła i naszego klasztoru w parku. Prosiłyśmy Boga, aby dalej towarzyszył ojcu Zbigniewowi w jego misyjnej pracy w Orenburgu, a naszym młodym ojcom w przejęciu wszelkich prac duszpasterskich i budowlanych w Pietropawłowsku.

Jeszcze niespodziewanie zaproponowano nam wyjazd do Sokołówki – to babcie z troski o zasadzone przez nas kartofle zaproponowały ojcu, by tam pojechać i je wypielić. To też była niezapomniana wyprawa. W samochodzie babcie jak zwykle pobożnie się modliły, przede wszystkim po polsku, a potem śpiewały ludowe pieśni ukraińskie, pełne miłości i rzewnych zaśpiewów. Ucieszyłyśmy się, widząc, że kartofle urosły (ja sadząc je niedowierzałam, że na tej suchej ziemi i przy tak prymitywnej pracy coś z tego będzie) – były nadzwyczaj bujne, ale chwasty też niemałe. Nie straciłyśmy jednak odwagi i razem z babciami, w strugach deszczu i w chmarze komarów udało nam się oczyścić prawie połowę pola. Nawiedził nas na tym polu kazachski weteran wojny niemiecko-rosyjskiej 1941. Przyniósł cukierki i chciał z nami świętować rocznicę jej wybuchu, która wypadła akurat tego dnia. Trochę się go bałyśmy, bo był nazbyt czuły, a słoninę chciał przynieść tylko nam, a nie babciom. W końcu rozpadało się poważnie i poszłyśmy do

okolicznej chatki, gdzie mieszkało dwoje starszuchów. Och, co to była za chatka: ulepiona z błota, niziuteńka, z klepiskiem w sieni. Dziadek tam spał na przypiecku, a babcia krzątała się gościnnie w maleńkich jak z bajki pomieszczeniach. Taka chatka to jeszcze jeden obraz Kazachstanu, tego najuboższego, ale jakże chwytającego za serce. Wszystkim nas tam częstowali, co mieli w swoim ubóstwie. Całe mokre i brudne siedziałyśmy na zydelakach przy stole z babciami i jadłyśmy ich pierożki ze słonina od dziadka. Pobyt w tej chacie to chyba był dar Jezusowego Serca, którego Uroczystość tego dnia obchodził Kościół. Tego wieczoru na Mszy św. w Pietropawłowsku jeszcze z większą miłością polecałyśmy Bogu mieszkańców Kazachstanu: tych wszystkich, którzy jeszcze nie doświadczyli jak słodko jest zamieszkać w Jezusowym Sercu.

Ponieważ wiedziałyśmy, że ksiądz Biskup Tomasz Peta będzie w Oziornem na świętowanie Uroczystości Matki Bożej Królowej Pokoju, a potem będzie wracał do Astany, więc postanowiłyśmy wybrać się tam razem z nim. Okazało się to możliwe: do Oziornego wyjechała z Pietropawłowska mała pielgrzymka, wraz z ojcem Andrzejem i nami. Babcie w busiku znowu z żarem prowadziły modlitwy i nawet nie zauważyłyśmy jak szybko dojechałyśmy do tego sanktuarium na stepie, gdzie już była przygotowana jurta na celebrowanie Eucharystii. Nas zabrano do procesji i szłyśmy zaraz za dużą figurą Matki Bożej z Medugore, w rozwianym płaszczu i z różańcem w ręku. Wszyscy poruszali się jak ptaki, bo wiatr był silny, podobno charakterystyczny dla Oziornego, ale to nie naruszyło podniosłej atmosfery tego spotkania z Maryją i jej Synem. Spotkałyśmy tutaj bardzo wiele polskich akcentów: ludzie, zwłaszcza starsi, lubią się tutaj modlić po polsku, a księża wychodząc im naprzeciw, celebrują Eucharystię z wtrętami polskimi. Ksiądz Biskup podczas homilii wszystkich gorąco zachęcał do przygotowań na przyjazd Ojca Świętego i podkreślał przychylność władz państwowych wobec tej wizyty.



Potem pielgrzymi zmotoryzowani pojechali na Wołyńską Górkę, aby tam modlić się pod krzyżem męczenników. My też tam dotarliśmy busikiem z Pietropawłowska. Było tam pięknie, jak w naszych Bieszczadach, ale w czasie modlitwy zrobiło się naprawdę groźnie: wiatr się wzmógł, zaczęło grzmieć, pojawiły się błyskawice, zdawało się, że wszyscy pofruniemy do nieba. Ale nikt nie rezygnował z Koronki do Bożego Miłosierdzia odmawianej w strugach deszczu i przy wtórze grzmotów. Wróciliśmy jednak szczęśliwi na plebanię do Oziornego i tam wielu księży i zakonnic Kazachstanu zasiadło przy jednym stole. Słuchałyśmy z zainteresowaniem opowieści o ich pracy, poznałyśmy siostry służebniczki wielkopolskie, które tam już od lat pracują. Ze wzruszeniem pożegnałyśmy ojca Andrzeja i naszych znajomych z Pietropawłowska. Na noc przyjęły nas do swojego klasztoru siostry służebniczki. Wśród ich postulantek znalazłyśmy dziewczynę, którą poznałyśmy podczas naszego zeszłorocznego pobytu w Pietropawłowsku.

Rano, po Mszy świętej w sanktuarium (a był to właśnie dzień uroczystości Matki Bożej Królowej Pokoju, patronki Kazachstanu) wraz z księdzem Biskupem, ojcem Stanisławem, proboszczem z Oziornego i dwoma siostrami służebniczkami, które wybierały się na urlop do Polski, wyruszyliśmy do Astany.

4. Astana i oczekiwanie na Ojca Świętego

W Astanie weszłyśmy w wielki i nowy dla nas świat. Trafiłyśmy do kurii biskupiej w momencie, gdy rozgorzały w niej intensywne przygotowania do przyjazdu Ojca Świętego do Kazachstanu. Początkowo bardzo tęskniłyśmy za Pietropawłowskiem, tamtą wspólnotą, ojcami, babciami, wyprawami do kościółka w parku. Ale powoli zaczęłyśmy się i tutaj aklimatyzować, zwłaszcza od momentu, gdy z ks. Biskupem i jego wikariuszem, szwajcarskim księdzem ze Zgromadzenia Pro Deus e Fratribus zaczęłyśmy codzienną wspólną poranną modlitwę i wieczorne adoracje przed Najświętszym Sakramentem w małej kapliczce kurii. Na bazie tych spotkań z Jezusem powoli nauczyłyśmy się budować każdy nasz dzień w tym nowym naszym „klasztorze”,

na razie tak bardzo tymczasowym. Odkrywałyśmy, że nasz pobyt w Astanie jest czasem łaski, a zwłaszcza czasem wielkiej modlitwy za tutejszy Kościół.

Nasza praca w sekretariacie przygotowań pielgrzymki była bardzo różna, czasem niezwykle intensywna, a czasem będąca oczekiwaniem na nowe wyzwania związane z tym wydarzeniem. Początkowo współpracowałyśmy przede wszystkim z ojcem Edoardo, włoskim księdzem ze stowarzyszenia Comunioni e Liberazione, który pracuje tutaj jako wykładowca na uniwersytecie prezydenckim. Pomagałyśmy mu w przygotowaniu materiałów dla włoskiej prasy, zwłaszcza kościelnej, o historii Kazachstanu, o kulturze kazachskiej, w której można znaleźć ślady poszukiwań prawdy o Bogu (islamscy sufiści ze średniowiecza), o starożytnej historii chrześcijaństwa na tych ziemiach, o losach katolików zesłanych tutaj po rewolucji, zwłaszcza w latach trzydziestych i czterdziestych. Tłumaczyłyśmy ponadto na język polski materiał o Kościele w Kazachstanie zebrany w internecie i oczywiście pomagałyśmy ks. Biskupowi w przygotowywaniu dla różnych dostojnych gości zaproszeń do udziału we Mszy św. z Ojcem Świętym na placu Matki Ojczyzny 23 września 2001.



Dzięki tej pracy każdego dnia uczyłyśmy się czegoś nowego o tutejszym Kościele i kraju. Czasem zdążyły się nam niespodziewane spotkania z ciekawymi ludźmi, np. z ojcem Marcinem Babrajem, dominikaninem, przyjacielem ks. Biskupa, który jako dziecko by zesłany do Kazachstanu z mamą i siostrami.

s. Maria Pierzchała, OSSR

